Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 150.709. Cena N-ru 100 Mkp.

Wydawn. ROK 54. KRAKÓW, DNIA 20. SIERPNIA 1922. Nr. 34.

DJABEŁ



Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ" WŁADYSŁAW BORKOWSKI Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 100 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ: MIESIĘCZNIE 400 MKP.
Cena egzemplarza 100 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

W GALICJI WSCHODNIEJ.



Piast: Otóż kochani bracia Ukraińcy, jest rzecz taka: będziemy się wzajemnie popierać przy wyborach, a ci poczciwi żydkowie nam pomogą, aby utrącić ciarachów i inteligentów polskich (głosy: Na pohybel!) I założymy se republikę trójludową, szczoby nam i wam buło duże fajno...

OD WYDAWNICTWA. Z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższamy prenumeratę i cenę pojedynczego egzemplarzą na 100 Mkp.

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prenumerata Tygodnika „Djabeł“ wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 400 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«: Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Jak się psiokrew drugi raz ulągnę, to ostanę ino biedroniem, bo to ci je tero najlipszy jenteres. Na ten przykład z onygo psiokrew przesilenia to ino biedronie prefit som mające. Szuwereny siepali sie psiokrew w syjmie bez dwa misionce, a od onygo siepania makówy sie tak jeim przesiliły, co uchwaliły psiokrew ustawę, dającą biedroniom pozwolińtswo na pasek. To nie som psiokrew nijakie obełgancye, nijakie ćmoje. Jako wół stoi psiokrew taki paregraf: „Trudniący się handlem lub przemysłem, ...przedsiębiorący choćby jednorazowo interes handlowy... który *rozmyślnie* żąda cen nadmiernych... ulegnie karze pozbawienia wolności do 6 miesięcy i grzywnie do miljona marek... Pod pojęcie trudniących się handlem lub przemysłem nie podpadają *w żadnym razie* producenci rolni, o ile trudnią się *choćby zawodowo* pozbywaniem artykułów własnego gospodarstwa“. To znaczy co kużdy kupiec, kużdy fabrykant, kużdy psiokrew nawyt jenteligent, gdyby coś chcioł choć jeden raz być sprzedający, najdzie sie psiokrew w potrzasku, abo wypuczy milijonik marneczek, jak ci bedzie za dużo żądający. Ale biedroń może zdzirać żywcem ze skóry. Jak ci kupiec bedzie żądający 3000 marneczek za kilo słonka [1]), abo sześćdziesiąt marneczek za jednom psiokrew jajeczność, to ci bedziesz mógł, brachu, zawołać policaja, abo jenszego ode lichwy komisorza, a ten ci go gdzie trza zahaczy i abo wsadzom chłopa do ula, abo mu każom z doliny wybulić ćwierć kila, pół kila, abo i całe kilo tysiączek — ale jak ci psiokrew biedroń bedzie chcioł za słonko 5000 marneczek, a za jajeczność 100 abo choć i tysiąc, to nimosz po co wołać pana komisarza ani policaja, boby oni oba cwaj ino psiokrew przed biedroniem salituorwali i pedzieli: „Jaśnie wielmożnymu szuwerenowi wolno żądać i 100 tysincy za kilo słonka, i milijonik za kopę jajeczności“.

A no równość republikancka jezd, kużdy mo psiokrew różne prawa, ino biedronie som nadrówność mające. I jak tu psiokrew, brachu, nie miołbyś chcieć ostać biedroniem, gdybyś po raz drugi na ten świat gzyms wyścibił.

A i nowy psiokrew rząd dzierży grabę z biedroniami. Bo zawsze tak psiokrew beło, że jak jaki syjm w jakimkolwiek psiokrew landzie nową ustawę beł uchwalający, to ci kużdy rząd pedział czy za tom ustawą jezd, czy nie, czy wedle jego kapowania jezd ona fajna lo narodu, czy psiokrew nie. A choć ta ustawa, dająca pozwolinie biedroniom na paskarstwo, okrutnom ci pakość narodowi jezd czyniąca, bo ci drogość bedzie psiokrew jeszcze winksza, — to rząd psiokrew Nowakowy ani pary z jadaczki nie puścił. A to pedajom lotygo gębę psiokrew stulił, co autorytet Nowakowy ma okrutnygo boja przed Witosem, bo jakby psiokrew nie robił tego, co jaśnie dziedzic z Wierzchosławic kazuje, toby mu Witos pokazał perskie oko i na zielonom trawę go pusknął. I bełoby nowe psiokrew przesilinie, pókiby sie nie nalazł jaki nowy weteryniarz, któryby stanon przed Witosem habacht i pedział: wedle befelu, jaśnie panie!

Bo Witos jezd najwinksza persona. A Witos jezd biedroniem. Lotygo trzeci raz psiokrew pedam: kto sie drugi raz ulągnie, niech ostanie biedroniem.

USPOKOIŁY SIĘ BAŁWANY.

W czasach słynnego przesilenia
Huczały gromy ze stron obu;
Słyszałeś wrzaski, oburzenia
Wszystkich, co pchają się do żłobu.

[1]) masło.

Morze sejmowe się burzyło,
Trzeszczały statku państwa ściany:
Wtem nagle wszystko się skończyło,
Uspokoiły się bałwany.

I choć lewica zwyciężyła
Prawica siedzi jakaś cicha, —
Czy odstąpiła obie siła,
Czyli też szczezła obu pycha?
Czy może Nowak silną dłonią
Umiał poskromić zapaśników?
Kiedy na ostre już nie gonią
I w bój nie wiodą wrażych szyków?

O nie, to cisza jest po burzy,
Do nowych walk przygotowanie,
Niebawem niebo się zachmurzy
I nowa orgja znów powstanie.

Niedługo ponad pola, bory
Ptak nienawiści w górę wzleci,
Rzucą wezwanie znów wybory
Do bojów „jednej matki dzieci".
I dla jej „szczęścia", jej przyszłości,
Zadawać będą sobie rany,
Jędza niezgody znów zagości
Z dwu stron zahuczą znów bałwany.

LIST OTWARTY

DO JW. JANA KANTEGO FEDEROWICZA

Prezydenta m. Krakowa, posła na sejm konstytucyjny, b. posła na galicyjski sejm krajowy, b. prezydenta Izby handlowej, b. zastępcy członka Naczeluego Komitetu Narodowego (Enkaenu), b. członka jego sekcji zachodniej, b. prezesa Tow. Strzeleckiego, członka i prezesa rozlicznych Towarzystw, Dyrekcyj i Rad Nadzorczych, kreatora ministrów, prezesa klubu pracy konstytucyjnej, właściciela licznych realności, wspólnika firmy "Federowicz & Palugyay etc., etc., etc.

Jaśnie Wielmożny Panie Prezydencie!

Strudzonemu pracą dla dobra Ojczyzny, pragnęlibyśmy nie mącić zasłużonego odpoczynku po trudach sejmowych, a zwłaszcza po ekwilibrystycznych wysiłkach w czasie przesilenia, — ale smutna potrzeba zmusza nas do zwrócenia Ci uwagi na to, co się dzieje w murach miasta powierzonego Twej najdostojniejszej opiece.

A źle się dzieje, nasz Nadojcze, czystemi głosami wybrany nasz Najwyższy Opiekunie!

Banda złodziei i opryszków, zwanych masarzami i piekarzami, obrała sobie Kraków za pole doświadczalne dla swych haniebnych operacyj. Robią, co im się żywnie podoba. Nietylko podwyższają horendalnie ceny, ale często pozbawiają nawet ludność możności nabycia najpotrzebniejszych artykułów żywności.

Masarze zamykają sklepy, nie dostarczają ani tłuszczów, ani wędlin, ale je poza Kraków wywożą. W niektórych masarniach zamiast wędlin dostaniesz... sera i owoców. Doszło do tego, że aby wywindować ceny, demonstracyjnie nie kupują nierogacizny na targu.

Piekarze, choć posiadają dostateczną ilość mąki, zmawiają się między sobą i nie pieką chleba — a podnosząc wciąż ceny bułek, zmniejszają z każdym dniem ich objętość. Bułka tej samej wielkości, która przed 2 miesiącami kosztowała 20 marek, dziś kosztuje 46. Są piekarze, którzy wypiekają je z mąki zepsutej — póki świeże dadzą się jeść, lecz już na drugi dzień nie można ich spożyć z powodu goryczy.

Śladem tych złodziejów i opryszków idą kupcy kolonjalni, którzy magazynują np. cukier i sprzedają go potem po wyższej cenie. Kilo cukru kosztuje dziś o 200 marek więcej w Krakowie niż w Warszawie. I tam tegoż sposobu rozboju spróbowano, ale była władza, która tym złodziejskim sztuczkom natychmiast kres położyła.

A u nas żadna władza nie kładzie tamy ohydnemu rozbojowi.

Masarze i piekarze kpią sobie z cen przez magistrat wyznaczonych — a piekarze kpią sobie i z oznaczonej wagi.

Kiedy ty, panie Prezydencie uprawiasz wysoką politykę, kierujesz losami państwa, ratujesz to prawicę to lewicę, zastępcy Twoi nie spełniają swych obowiązków i nie bronią ludności przed nikczemnym wyzyskiem bandytów aprowizacyjnych.

Może tych zastępców jest za mało; choć dziś jest czterech, a dawniej jeden wystarczał. Może są przeciążeni pracą. Co prawda same uroczyste przyjęcia i jeszcze uroczystsze a tak mnogie obiady, które w pocie czoła spożywają, zabierają im tyle czasu, że obroną ludności zajmować się nie mogą.

Zresztą syty głodnemu nie wierzy, a oni są syci, dobrze odkarmieni.

Więc kiedy, Najdostojniejszy Nadojcze, powróciłeś do opuszczonej przez ciebie chaty, wejrzyj łaskawie na niedolę swych dziatek. Nie daj im zginąć marnie. Miej litość nad ich zgłodniałymi żołądkami, nad ich chudemi kieszeniami. Jak drugi Krakus zabij oszczepem smoka lichwy, uwolnij od niego nieszczęsnych mieszkańców naszego grodu.

Jesteś władzą, więc bądź władzą, pokaż, że masz władzę, że Twa władza nie od parady.

Zrozpaczeni, w Tobie, najszlachetniejsza z latorośli naszej winnicy bezpańskiej, widzimy jedyną naszą nadzieję i jedyny ratunek.

Umiesz budować i burzyć gabinety, wybuduj więc choć jeden pokój aprowizacyjny, zburz choć jedną basztę lichwiarską.

O to Cię, Panie, prosimy.

(podpisy).

NOWEMU MINISTROWI SKARBU.

Mówią, żeś jest tęga głowa
Pierwszej klasy finansista,
Póki jednak nic nie zdziałasz
Dla nas tyś „tablica czysta“.
Można wielkim być w Szanghaju
A kark skręcić w własnym kraju.

Czy potrafisz podnieść markę,
Która spadła znów nieładnie,
Czy wprowadzisz ład w budżecie
Któż przewidzi, któż odgadnie.
Można wielkim być w Szanghaju
A kark skręcić w własnym kraju.

Skarb to jest nielada orzech.
On buduje państwa zręby,
Najsilniejsze nawet męże
Połamały na tem zęby.
Można wielkim być w Szanghaju
A kark skręcić w własnym kraju.

Z CHWILI.

Pan Michał Bobrzyński, jako były namiestnik Galicji, wszelkimi środkami, na życzenie rządu austrjackiego, chciał przeforsować ordynację wyborczą do sejmu, osłabiającą polskość na rzecz Ukraińców. Wywołał tem żywiołowe oburzenie całego społeczeństwa. Wystąpili przeciw niemu nawet książęta kościoła, a biskup Bandurski nazywał go „największem nieszczęściem“ Galicji.

Obecnie zwołano w Warszawie komisję rzeczoznawców do rozpatrzenia sprawy Małopolski Wschodniej. Do komisji tej powołano nietylko p. Askenazego, autora projektu autonomji terytorjalnej, to jest rozparcelowania Polski, ale i p. Michała Bobrzyńskiego. Co więcej, ten miłośnik ojczyzny... ukraińskiej został prezesem komisji. Dlaczego nie... metropolita Szeptycki? Ten byłby jeszcze... odpowiedniejszy.

Jest nadzieja, że na czele komisji dla sprawy żydowskiej stanie p. Priłuckij, na czele komisji do samorządu śląskiego jeżeli nie p. Tiedemann, to przynajmniej Napieralski, a na czele komisji dla Litwy środkowej ów hr. Korwin-Milewski, który ongi wyrzekł się polskości i ogłosił się „russkim“ wiernopoddanym cara.

———

Wszystkie nasze *zasady* schodzą na plan drugi wobec footbalu. Antysemicka Rzeczpospolita umieszcza telegram z Krakowa o wyniku meczu między żydowskim klubem Makkabi a wiedeńskim żydowskim klubem Hakoah. Rzecz warta telegramu — polskiemu społeczeństwu należy jaknajspieszniej podać wiadomość, że żydki wiedeńskie lepiej kopią piłkę niż żydki krakowskie.

N. Reforma przed owym meczem donosiła, że Hakoach należy do „najlepszych drużyn kontyngentu“ i twierdziła, że „zainteresowanie się w Krakowie temi zawodami jest *olbrzymie*“! Smutnoby to świadczyło o Krakowie, gdyby była w tem choć cząstka prawdy.

PASEK.

PASKARZOM KU PRZESTRODZE.

Jak się to często dziś zdarza,
niejaki Marcin wyszedł na paskarza:
zamiast do biura, wziął latać do Lursa,
gdzie jest warszawskich spekulantów bursa —
o konjunkturę znajomych wypytał
i w wagon gwoździ wpakował kapitał.
Pogadał z jednym, drugim detalistą,
sprzedał — sto procent zarobił na czysto...
i dawaj spuszczać zarobek.

Pohulawszy kilka dobek,
gdy gentelmana zrobili zeń krawcy,
wraca pan Marcin do swego dostawcy.
— Of majne mues — fabrykant się boży:
gwoździe kosztują dziś dwa razy drożej.
Żeby tak dzieci moje były zdrowe,
wagonu nie dam — najwyżej połowę.

Co robić?... Marcin pół wagonu kupił,
lecz swych odbiorców za to mocniej złupił:
już nie sto procent zarobił, lecz dwieście.
A cena gwoździ rośnie w całem mieście.

Marcin, zysk znowu przepiwszy, przejadłszy,
za swym dostawcą gwoździ dalej patrzy.
Chce pół wagonu. — Co? spadłeś pan z nieba?
Dwa razy więcej dziś pieniędzy trzeba.
Dam ćwierć wagonu...

Ano, trudna rada.
Za ćwierć wagonu kapitał wykłada
i przy sprzedaży, jak może, korzysta:
liczy nie dwieście procent, ale trzysta.
Zarobił. — Znowu kupuje Marcinek:
tym razem dostał ledwo kilka skrzynek.

Jeszcze się odbił. Bo już detalista
płaci nie trzysta procent, lecz czterysta.

A ceny gwoździ dalej rosną, rosną,
niczem na polu te kwiatuszki wiosną.
I kiedy cena już była galanta,
poszedł nasz Marcin znów do fabrykanta.
Ten rzecze krótko: — Panie, ohne reden:
czy chcesz, czy nie chcesz, mogę dać gwóźdź jeden.
— Uuu! — westchnął — z tego zysku nie wymanim.
Gwóźdź kupił — no i powiesił się na nim.

Benedykt Hertz.

UCZCIWY.

— Nie wiesz, czy X. bierze łapówki?
— Nie. Zawsze jest goły.
— Aha, więc to taki uczciwy człowiek?
— Nie to, ale mu nikt łapówek nie daje.

LXXIX. LIST KACPRA KRUPY,

WSPÓŁPRACOWNIKA „DJABŁA“ z LONDYNU.

Londyn, w sierpniu 1922.

Wielebna Redakcjo!

Już miałem wyjechać z Hagi i udać się do Warszawy, aby profesorowi Nowakowi być pomocnym przy tworzeniu nowego gabinetu i osobiście mu oświadczyć, że teki ministra skarbu nie przyjmuję, gdy otrzymałem telegram następującej treści: „Kochany Kacprze! Przyjeżdżaj bezzwłocznie do Londynu. Odpowiedź zapłacona. Twój kochający cię Poincare“. Zaraz odtelegrafowałem, że przybyć nie mogę, bo muszę udać się do Warszawy, aby pomagać profesorowi Nowakowi. Otrzymałem jednak drugi telegram od p. Poincarego w którym mnie na wszystko w świecie zaklina, abym do Londynu przyjechał, bo Francji grozi niebezpieczeństwo, a profesorowi Nowakowi w Warszawie może pomódz Jan Kanty Federowicz-Palugyay lub Marjan Dąbrowski. Wobec tego opuściłem Hagę, udałem się do Londynu, gdzie obecnie przebywam. Poincare przyjął mnie bardzo serdecznie i ze łzami w oczach oznajmił, że sytuacja jest bardzo groźną, bo Niemcy chociaż mogą płacić nie chcą, zaś Francja musi spłacać długi zaciągnięte w Anglji, Anglja długi amerykańskie i wogóle wszystkie mocarstwa mają płacić długi wojenne, a pieniędzy nie mają. Długo z Poincarem radziłem co uczynić i poradziłem mu, aby wszystkie mocarstwa zastosowały u siebie system bolszewicki, to jest postanowiły wogóle żadnych długów nie płacić. Czy zebrani w Londynie dyplomaci ten mój projekt zaakceptują nie wiem, ale uważam go za jedyną drogę wyjścia z tej przykrej sytuacji. Lloyd Georgeon, chcąc mnie skaptować, zaprosił mnie na śniadanie, ale ja na jego żądanie, aby się zgodzić udzielić Niemcom moratorjum pod żadnym warunkiem nie przystanę. O Londynie, o którym już w jednym z moich listów pisałem, nie piszę, bo się od tego czasu nic nie zmieniło: mgła bezustanna, która jak się zdaje na umysły dyplomatów niekorzystnie oddziaływa. Dla ożywienia sezonu ogórkowego w Irlandji trochę się zabijają. To jeszcze tylko muszę zauważyć, że od chwili gdy u nas sejm co do wszelkich włotścian uchwalił, że wolno im pobierać ceny paskarskie, wszyscy Anglicy Polskę uznali za kraj najbardziej demokratyczny i zasadę tę u siebie chcą zastosować. O przebiegu narad w Londynie doniosę.

Sługa

Kacper Krupa

Kawal:r krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 19780.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Ja w ostatnim miałem czasie
I radości i cierpienia —
Ciągle bułem w ambarasie
Przez te różne wydarzenia!
Dzieci to ja mam nie mało —
Sare moje już wiekowe —
Ale jakoś tak sze stało,
Że znów syna dał Jehowe!
Dawniej takie narodzanie
Buło tanie — pięć guldenów
Kużden buł zapłacić w stanie
Damie, co od urodzeniów.
A jeżeli przy kąpaniu
Jeszcze drugie pięć jej dano,
Za jej pracę przy rodzaniu,
Bardzo hojnie nagradzano.
Teraz gdy nadeszła pora
Wedle damy polecenia
Musiałem wezwać doktora,
Co un jest od urodzenia.
Przyniósł kleszcze, watę, płyny,
Jakich nigdy nie widziałem —
Za czynność przez pół godziny
Pięćdziesiąt tysiąców dałem!
Mamce, damie tygodniami —
— Płaczę na samo wspomnienie —
Musiałem płacić markami
Pięć tysiąców, dać żywienie.
A jak dwa Lewiatany
Jadły w nocy i dzień cały,
Że wielkie było zdziwienie,
Że obie nie popękały!
Ja ze syna się cieszałem
Mimo kosztów i mozołów,
Lecz umarł — ja się martwiałem —
Powiększył grono aniołów!
Za pogrzeb karawanowy
Przy którym był też kuń biały,
Płaczki, wieniec pogrzebowy
Chóry co pięknie szpiwały
Sam zaledwie daję wiary
Kiedym sze okropnie trapił,
Od pogrzebów paskarz stary
Całe sto tysięcy złapił!
Złe tera znastały czasy —
Wszystko zaczyna doskwierać,
Bo kosztuje marek masy
Czy się rodzić, czy umierać.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Felieton składany).

I. Przesilenie w r. 1924.

Pięćset trzeci dzień przesilenia minął zupełnie spokojnie.

Prawica kiwała palcem w lakierku ze szpicem na lewicę, a lewica robiła perskie oko.

Sejm uchwalił ustawę o dożywotności stanowisk poselskich.

Konwent senjorów wybrał specjalną komisję

lingwistów, składającą się z biegłych znawców tajemnic języka francuskiego, która miała zadecydować.

„Co to znaczy przesilenie? Co to jest gabinet? Jak należy pojmować znaczenie wyrazu „bufet“?

Co się tyczy dania odpowiedzi na trzecie pytanie, tu konwent jednogłośnie postanowił zarządzić w tej materji referendum ludowe. Na referenta powołano przez aklamację posła de Rosseta. Jedynie poseł Federowicz założył wotum w separatce.

Pewnego razu na plenum jakiś poczciwy kapek zaproponował dobrodusznie:

— Możebyśmy tak pomyśleli o utworzeniu rządu?...

Ale natychmiast go wyśmiano.

Prawica krzyczała:

— Nie chcemy rządu, precz z rządem!...

A lewica nuciła:

— „O cześć wam panowie i panie!...“

Na rozkaz władz administracyjnych cały kraj szykował się do uroczystego obchodu 525 dnia przesilenia, a na sejmie pojawił się projekt następującego dodatkowego paragrafu konstytucji:

„Zwykłą formą bezrządu w Polsce jest przesilenie gabinetowe. Znajduje się ono pod ochroną prawa i każdy, kto się ośmieli stan ten naruszyć zostanie skazany na staranie się o paszport zagraniczny“.

Czasem tylko przedstawiciele klubów zbierali się w prywatnych mieszkaniach niektórych posłów i zabawiali się w grę towarzyską, polegającą na wykrzykiwaniu nazwisk kandydatów na premiera.

Gdy już wszyscy ochrypli, całe towarzystwo udawało się do Belwederu, gdzie na miłej pogawędce spędzało podwieczorek i kolację.

Następnie poseł Witos wyjeżdżał do Wierzchosławic przypilnować żniw, a p. Steinhaus imieniem K. P. K. ogłaszał w pismach list, w którym oznajmiał ze łzami w oczach, iż cała polityka kapeków była jednem wielkiem nieporozumieniem.

504 dnia przesilenia ambasador Nicaragui oświadczył współpracownikowi jednego z pism warszawskich, że brak gabinetu w Polsce wywiera bardzo złe wrażenie w jego kraju.

Po wydrukowaniu tego oświadczenia, dolar poszedł w górę jeszcze o dziesięć tysięcy punktów, co nikogo jednak nie przeraziło.

Tegoż dnia jacyś wrogowie państwa, zapewne bolszewicy albo jeszcze gorzej, zaczęli rozpuszczać niepokojące pogłoski o pertraktacjach klubów w sprawie utworzenia rządu.

Wiadomość ta wywołała zupełnie zrozumiałe wzburzenie w całym kraju.

Wszystkie partje postanowiły urządzić demonstracje pod hasłami:

— Precz z rządem!...

— Nie chcemy gabinetu!...

— Niech żyje przesilenie!...

II. Żniwo i suwereny.

Suweren Maciek Bujdek otarł pot z czoła i mruknął z zadowoleniem:

— Dobrze je!... Jeszczyk dwa dni takiej pogody, a syćko alegancko się uprzątnie!...

Wtem usłyszał wołanie:

— Maciek! Maciek!...

— Co je?

Nadbiegła jego żona, Jagna, trzymając w ręku jakiś skrawek papieru.

— Maciek! Jakiś tam telegram przyszedł. Pewnoć z tygo sejmu!...

Maciek począł sylabizować. Wreszcie z trudem odcyfrował trzy słowa depeszy:

„Przyjeżdżać jutro. Witos“.

A Jagna jak na niego nie wsiądzie.

— Co się temu sejmowi zachciewa!... Jutro mos jechać!... A niedoczekanie jego!... Najpierw uprzątniesz pole, a potym mozes na te gadanie jeździć.

— Kiej Jagna!... Nie pamiętos, jak mówił Witos: „Jak depesa, to trzeba syćko rzucać i pieronem jechać!...

W Jagnie zakipiała krew.

— Ty durniu stary!... Myślis, że jo tu bede z parobasem harować dla tego syjmu! Prędzyj tu umrę!... a ty nie pojedzies!...

— Dyć Jagna...

— Spróbuj jeno, a pilnuj pyska!...

I przy tych słowach odeszła, gdyż był czas dojenia.

A suweren Maciek Bujdek począł filozofować:

A dyć ona mo racje!... Tero — kiej je pogoda — to mi zawrocajom głowe syjmem. Witos mądry, a w żniwa każe przyjezdzać!... I beze mnie tego syjmu djabli nie weznom!... Dyć je nos chłopów w syjmie taka wielka kupa, że jak jednygo zabraknie, to dziury w niebie nie bedzie!... A Jagna mądra baba!... Może mondrzejsa niż Witos!...

Suweren Maciej Bujdek otarł pot z czoła i zabrał się do pracy...

III. Precz z kapeluszem.

Rewolucyjny ten okrzyk nie odnosi się tym razem do mężczyzn. Panowie już oddawna noszą lub nie noszą kapelusza, zależnie od pogody i humoru.

Rewolucja miała miejsce w sferze kobiecej, a jest to sfera mało skłonna do ustępstw, gdy chodzi o zupełne zniesienie jednej z jej najsilniejszych placówek.

No bo jakże to — bez kapelusza! Jest to protest przeciwko wszystkim dotychczasowym zwyczajom, bunt, lekceważenie i obraza majestatu królowej mody. Jest to już prawie bolszewizm.

Ale oto znalazło się zagranicą grono młodych kobiet, które wystąpiły z otwartą rebellią i — nie noszą kapelusza.

Twierdzą, że to, co uchodzi w sali balowej, na koncercie i na wszystkich innych uroczysto-

ściach życia, może ujść i na ulicy. Dowodzą nawet, że jest to rozkosz, gdy słońce całuje skroń, a lekki wietrzyk chłodzi zmęczoną głowę.

Nie na wiele się tu zdały filisterskie utyskiwania reakcji — postęp zwyciężył.

Za przykładem pierwszych bojowniczek poszło wiele innych kobiet i mężczyzn.

Trzeba oczywiście przyznać, że kapelusz zajmuje zbyt poważne miejsce w życiu kobiety. Zajmuje jej czas i skłania do zbytecznych wydatków, gdyż części składowe tej rzeczy, którą kobieta zwykła nazywać kapeluszem, są zwykle dosyć kosztowne.

I trzeba jeszcze przyznać, że niema tak surowej niewoli, jak niewola mody, że niema gorszych tyranów jak przyjęte zwyczaje i że to co „wypada" lub „nie wypada" poprostu graniczy z czerezwyczajką.

Przypomina to pewnego króla, który przed swoją zbrojownią i magazynem prochu rozkazał dla bezpieczeństwa ustawić wartę. Warta wiernie stała przed wieżą dnie, tygodnie i lata. I gdy już proch dawno wyniesiono, gorliwi biurokraci ustawiali i zmieniali wartę i warta wiernie stała przed wieżą dnie, tygodnie i lata.

Tylko nie myślcie, czytelnicy, że takie historje już się w naszych czasach nie wydarzają!

Taką historją jest walka o kapelusz.

Czasy, gdy mieliśmy czas na strojenie się, na liczne przygotowania przed wyjściem z domu, czasy te minęły.

A warta wciąż wiernie chodzi koło wieży i broni przystępu nowym prądom i nowym zwyczajom.

Aug. Forel wspomina w jednym ze swoich dzieł o ludziach-automatach, to jest o ludziach, którzy pojęć otaczającego ich świata nie krytykują, nie przekształcają w duszy swej, nie wkładają w nie nowych prawd, a przyjmują je bez namysłu i stosują we wszystkich okolicznościach życia. Ale życie płynie wartką falą i zwyczaj nienoszenia kapelusza zatacza coraz szersze koła.

I ciekawym jest widok, jak rzecz tak banalna, prosta i nieszkodliwa, jak nienoszenie na ulicy kapelusza, wzbudza niechęć i napotyka poważne przeszkody.

A jeszcze ciekawszy jest widok, gdy nowa myśl okazuje się silniejszą, niż przesądy, i gdy przesądy zmuszone są do kapitulacji.

Wprawdzie dr. Luster jest przeciwnego zdania — pisze w Ill. Kurjerze Codziennym, że włosom kobiet słońce szkodzi, że prędzej siwieją — ale zdaje się że dr. L. chce zyskać sobie względy właścicielek magazynów kapeluszy damskich. Boć przecie te kapelusze są tak wiotkie, tak przeźroczyste, że przejdzie przez nie nawet światło... świeczki łojowej, a cóż dopiero słoneczne? A czy „baby" wiejskie, nienoszące kapeluszy, wcześniej od miejskich siwieją?

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.